



CO ZOSTAWIA PO SOBIE GILLETTE

(oczami tych, którzy ruszają dalej)

„Klinika leczy pacjentów. Wspólnota troski wspiera ludzi”.

I. Co zostaje

Byłem w świetlicy, tej otwartej dla pacjentów na popołudniowy odpoczynek, papierosa, rozmowę – i dla nas, opiekunów, którzy czekaliśmy, żeby zabrać naszych chorych do domu.

Nie czułem się nieswojo, ale byłem czujny: na to, jak człowiek staje się kruchy w chorobie, często niepełnosprawiającej i bez wyjścia, w chorobie, która nie patrzy na niczyj wiek.

Było tam pięciu mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy na wózkach inwalidzkich. Odwrócili się do mnie i zaczęli pytać, ile mam lat, jaką pracę wykonuję, czym się zajmuję, jakie mam powołanie; a na koniec chcieli wiedzieć, co myślę o pewnych sprawach polityki i religii oraz o kilku osobach publicznych.

Ich oczy były zgaszone, oczy kogoś, kto tylko czeka, aż zgaśnie światło. A ja, to światło, zapaliłem je na nowo.

Taki mam sposób bycia z ludźmi: sprawiać, żeby się uśmiechali. Nie jestem aktorem ani błaznem kliniki – tylko człowiekiem jak wielu, ale nie tak zwyczajnym jak chleb.

Potem poprosili mnie o historię. I tu muszę być szczery z czytelnikiem: ta, którą opowiedziałem, nie była grzecznym dowcipem i nie opowiedziałbym jej w żadnym innym miejscu. Ale tam, w tamtym pokoju, pozwolenie na śmiech z tego, co odebrało im życie, mogli dać tylko oni, sami sobie. I poprosili mnie o nią.

Przytaczam ją więc tak, jak była, bo oczyścić ją całkiem znaczyłoby ich zdradzić.

Opowiem wam – powiedziałem – o człowieku na wózku, bez rąk i bez nóg, który pewnego dnia odpowiedział na ogłoszenie na portalu randkowym.

A jeśli ktoś się nie uśmiechnie, dodałem, to nie moja wina: będzie to znaczyło tylko, że to nie jest jego dzień.

Bardzo bogata kobieta w podeszłym wieku – około osiemdziesiątki – z pomocą czterdziestopięcioletniej siostrzenicy szukała męża. Ale po wszystkim, czego nauczyło ją życie, wiedziała dokładnie, jakiego mężczyzny chce: takiego, który nigdy nie podniesie ręki, takiego, który siedzi w domu, i – powiedzmy – mężczyzny o hojnych rozmiarach.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zobaczyła przed sobą tego człowieka na wózku, bez rąk i bez nóg, ale młodego i przystojnego, który przyszedł zgłosić się na ogłoszenie.

Przeprowadziła z nim rozmowę.

Chciała mężczyzny, który nigdy nie podniesie ręki: a on nie miał rąk. Pierwszy punkt na jego korzyść.

Chciała, żeby był domatorem, spokojnym: a on był bez nóg, na swoim wózku. Drugi punkt na jego korzyść.

I w końcu powiedziała mu, że chce, żeby był hojnie obdarzony. A on zupełnie poważnie odpowiedział: „Proszę pani... a jak pani myśli, czym zapukałem do drzwi?”

W tym momencie pięciu mężczyzn wybuchnęło śmiechem i nie mogło przestać. Ale kobieta pozostała poważna, nieporuszona. I cała moja uwaga skierowała się ku niej.

Dla niej nie miałem drugiej wersji, niczego nie przygotowałem. Ale doznałem olśnienia: powiedziałem jej, że jeśli chce, dam jej numer telefonu tego kandydata. Oczy jej rozbłysły, uśmiechnęła się i powiedziała: tak, tak.

Wygrałem od niej uśmiech. Osiągnąłem swój cel. To było wszystko, co zostało z tamtej chwili – i to wystarczyło.

Kiedy wychodziłem z ośrodka, wszyscy pytali, kiedy wrócę i czy mam inne historie.

II. Epilog

Ludzie wierzą, że to, co zostaje, to dokumentacja medyczna, prześwietlenie, terapia do kontynuowania w domu albo numer telefonu nabazgrany w pośpiechu na kartce.

Mylą się.

Kiedy człowiek opuszcza ośrodek, nie zabiera prawie nic z tego, czym go leczono.

Zabiera ludzi.

Zabiera głosy.

Przyzwyczajenia.

Korytarze.

Rozkłady dnia.

Twarze, które przez tygodnie albo miesiące wyznaczały czas jego życia.

Medycyna zostaje w archiwach.

Pamięć idzie inną drogą.

I właśnie o tej pamięci chcę mówić.

III. Strona autora

Ta praca nie powstała na zamówienie.

Nie została sprzedana.

Nie powstała w celach handlowych.

Została napisana, by dać świadectwo wartości rehabilitacji, ludzkiej godności i relacji między ludźmi.

Jedyna opłata, o którą proszę, to symboliczny dolar – nie jako zapłata za pracę, lecz jako świadectwo wspólnego zaangażowania w kulturę troski, nadziei i

odpowiedzialności.

Ferdinando